Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 6. Lutego 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 6.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

DUMCIO MÓJ SĄSIAD.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy)

Przed ganek zatoczyła się bryczka i w białem, długiem, w niebieskie paski okryciu wyskoczył z niej Dumcio.

Rzepeckiej niestety nie było.

— Wiesz pan co? — wołał zrzucając okrycie.

— Co, co takiego, kochany sąsiedzie?

— A to pan jeszcze nie wiesz, o czem już wróble na dachu świergocą.

Przywitaliśmy się dając sobie buzi z dubeltówki.

— Weinberger, jak Pana Boga kocham, mówił do Zajączkowskiego: Kiedy wuna tego Dumcia nie chciała, to wuna wielgi głupstw zrobiła. Sam Weinberger to mówił. Spytaj się pan Zajączkowskiego.

Zajączkowski był ekonomem i powiernikiem Dumcia.

— Nic jeszcze nie wiem, nic nie rozumiem. Zaczynaj pan od początku — mówiłem wprowadzając gościa do bawialnego pokoju.

— Wódka i przekąska — dałem rozkaz Józefowi.

— A to, to wybornie, jeść mi się chce żebym żywego barana pożarł — zawołał Dumcio zacierając ręce.

Rozciekawiony zainterpelowałem:

— Słucham, lecz proszę opowiadać od początku, systematycznie, porządnie.

— Dobrze, a więc od początku. Po ucieczce pańskiej...

— Po jakiej ucieczce?

— Uciekałeś pan przed Fruzią, a Kaczkiewicz opowiadał i chwalił się głośno, że przed nim — osioł! Otóż po ucieczce pańskiej, Fruzia była smutna i nie chciała z Kaczkiewiczem tańczyć. Dopiero gdym się zaklął, że ją za pana wyswatam, uśmiechnęła się, podała mi rękę — którą pocałowałem — i prosiłem, żeby za mną przemówiła do rozumu Gieńci.

— Tak nagle — przerwałem.

— A cóż pan myślisz, albo to ja mogę czekać? Czterdziestka już mi po piętach depcze. A zresztą trzeba było raz skończyć, abym wiedział jak stoję — zanim z panem rozpocznę.

Dumcio przekonał mnie — słuchałem z powagą dalej.

— Fruzia dotrzymała słowa. Ten komforcik radby się za pana gwałtem wydać— bo inaczej aniby do mnie zagadał. Widziałem jak z Gieńcią rozmawiała i jak się Gieńcia śmiała. — Myślę sobie — wygrana i czatuję na Gieńcię. Właśnie kiedy się zaczęła polka, Gieńcia wyszła — wiesz pan do tego małego pokoiku na prawo.— Myślę sobie — to znaczy abym za nią poszedł.

— I poszedłeś pan?

— A to się wie. Przetańczyłem raz polkę z kuzynką i niby od niechcenia zamiast w lewo, poszedłem na prawo. — W pokoiku Gieńcia siedziała na fotelu, zamrużyła oczy, oparła głowę o poręcz i myślała. Pewnie o mnie — myślę sobie i pocichu na palcach podchodzę i klękam na oba kolana tak głośno, że aż Gieńcia otworzyła oczy.

— Co to jest? — szepnęła przestraszona.

— To ja, panno Gieńcio. Chciałem, jak Boga kocham, powiedzieć — twój niewolnik — ale powiedziało mi się jakoś z prędkości — twój parobek.

— Cóż Gieńcia?

— Smiejąc się zerwała się i uciekła do salonu — napatoczył się Kaczkiewicz i poszła z nim tańczyć.

— I jakże się ta sprawa skończyła?

— I ja, jak gdyby nic tańczyłem, potem poszedłem do Fruzi — a Fruzia śmiejąc się powiedziała mi, żem się dobił tym parobkiem.

— Prosiłem Fruzi, żeby wytłómaczyła siostrze, że to tylko przez omyłkę, bo chciałem powiedzieć — niewolnik.

— A Fruzia co na to?

— Mądra — bała się abym pana nie odciągnął — powiedziała że powie i pewnie powiedziała — lecz nie mogąc się doczekać odpowiedzi, sam spytałem się Gieńci.

— To ciekawe — szepnąłem.

— Nic ciekawego -- odparł Dumcio. Przyszedłem i rzekłem: niechże mi pani otwarcie powie, czy mnie pani chce za swego niewolnika?

— Mówiłeś pan -- parobka — odezwała się sznurując buzię.

— Wielka rzecz — odparłem -- omyliłem się i basta.

— Niezawodnie że wielka — odpowiedziała mi — bo gdybyś pan był moim niewolnikiem, tobym go zaraz sprzedała Weinbergerowi za 20 rubli — gdy tymczasem parobków, jak pan wiesz, sprzedawać nie wolno.

— Ogromnie sobie z pana zażartowała. I cóżeś jej pan odpowiedział?

— Że pożałuje tego gorzko — i że sama się do mnie zgłosi — ale będzie zapóźno.

Przyniesiono wódkę i wieprzowy wędzony boczek, skręcany rączkami Rzepeckiej. — Przepiliśmy raz i drugi i przekąsili.

— Wiesz pan co? — spytał Dumcio.

— Nie wiem.

— Weinberger powiedział, że ja nie

dwadzieścia rubli, ale dwadzieścia tysięcy jestem wart. Spytaj się pan Zajączkowskiego.

— Nie będę się pytał Zajączkowskiego, bo wierzę panu i podzielam zdanie Weinbergera.

Dumcio pochwycił mnie w objęcia.

— Kiedy tak, to już wszystko pójdzie jak z płatka — zawołał.

— Co — co takiego, kochany panie— co pójdzie jak z płatka?

— Jakto zapomniałeś pan? Swaty moje! — zawołał Dumcio gwałtownie.

— Pamiętam, sądziłem tylko, że po oświadczeniu się Gieńci odpoczniesz pan troszkę.

— Odpocznę? — a to mi się podoba, gdy czterdziestka za łeb trzyma. Po co tu zwłóczyć? Gospodyni w domu nie ma, kradną mnie na wszystkie strony!... Człowiek ani dobrze zje, ani się wyśpi.

— Uprzedzam jednak pana — rzekłem poważnie — że tam pan posagu nie znajdziesz.

— Myśli pan, że tak bardzo dbam o posag — dzisiaj. Od dwudziestego drugiego roku życia, do trzydziestu lat, starałem się o panny bogate — od trzydziestu do dziś dnia o takie naprzykład, jak Trybulszczanki, co to niby wsiowe, a siedzą w kieszeni u Weinbergera; bo człek sobie myślał, że zawsze coś obliźnie. — Ale teraz, jak mi Bóg miły, nie chcę nic, tylko uczciwej kobiety — szlachcianki, dosyć ładnej — no i nie głu piejmój panie!

— Właśnie mam taką — rzekłem.

Dumcio powtórnie pochwycił mnie w objęcia.

— Masz pan fotografię, jak wygląda— a z dobrego gniazda?

— Nestety fotografji nie mam, i panny nie widziałem.

— Nawet nie widziałeś — i swatasz mnie?

— Na niewidzianego nie spudłujesz pan.

Dumcio zaczął się śmiać. Rzucił się na kanapę i śmiał się, aż łzy mu z oczu spływały.

— A to wyborne, a mówią żeś pan nie dowcipny.

— Któż to tak mówi? — spytałem nieco urażony.

— Któżby jeżeli nie szlachta. Powiadają o panu, że to człowiek oczytany, podróżnik, ale jaki ci nudny! Żadnej dykteryjki, żadnego konceptu... A tu masz! I znowu Dumcio zaczął się śmiać.

Przeszły mi przez myśl ziewania łzy i jakoś zamyśliłem się smutno. Widząc to Dumcio otarł oczy i zaczął mnie pocieszać.

— Ej co tam, co gadają! A niech gadają co chcą, a dla mnie jesteś pan dowcipny i basta. No i jakże to niewidziane? — zaśmiał się, wypił kieliszek wódki i zasiadł poważnie z postanowieniem cierpliwego słuchania.

Nie było rady, należało sprawę skończyć.

— Wiesz pan pewnie, że mam w Opoczyńskiem kuzynkę za Choińskim, zamożnym obywatelem.

— Córka! — zawołał Dumcio i zerwał się na równe nogi!

— Proszę nie przerywać.

— Prawda — mówił Dumcio — że gdyby to była córka, tobyś ją pan widział.

— W sąsiedztwo Choińskich niedawno sprowadziła się rodzina starej szlachty — on Pęgowski — ona Żurawiecka z domu. — Mają dwoje dzieci....

— Już wiem — przerwał —córkę i syna — i z córką chcesz mnie ożenić przy pomocy pani Choińskiej dobrodziejki. Jedziemy jutro!... — Nie! jutro nie, — roboty w polu. — Na przyszły tydzień mamy dwa święta, a zatem wyruszamy w sobotę na Kielce moją czwórką. Zaprezentujemy krakowską czwórkę Opoczynianom.

I po raz trzeci Dumcio porywa mnie w swoje objęcia.

— Zaraz, zaraz, nie tak nagle, nie skończyłem jeszcze.

— Kochany panie Ignacy, skończymy to wszystko weselem.

— Musisz pan jednak wiedzieć, że Pęgowski stracił cały majątek na utrzymanie w blasku i świetności swego rodu. Prowadził dom otwarty — i właśnie tym otworem przesunęła się ojcowizna i posag żony.

— I gdzież teraz siedzą?

— Na dzierżawce.

— Na dzierżawce? — powtórzył Dumcio i jakoś się skrzywił.

— No, decyduj się kochany panie.

— Panna ładna? — zapytał.

— Choińska mówi, że bardzo przystojna.

— Niech będzie co chce — zgadzam się — jedziemy.

Wybiegłem z bawialnego pokoju.

— Obiad! — zawołałem na Józefa.

— Jaki obiad? — odpowiedział mi naiwnie.

— Cóżto za pytanie gawronie?

— Bo proszę pana dziś obiadu nie będzie. Jest tylko pieczone kurcze, Rzepecka pozamykała wszystko i klucze zabrała ze sobą.

Wpadłem w szalony gniew.

— Wołać ekonomowej. Po Łubę kucharza z Woli co koń wyskoczy. Porozbijać zamki. A błazny jedne!

Kasia poleciała po ekonomowę.

— Wołaj kowala natychmiast!

Józef przestraszony moim krzykiem pobiegł po kowala. Ekonomowa nadbiegła.

— Nie wiesz to pani do jasnych piorunów, że mam gościa! — Rzepeckiej nie ma — i nie mogłaś się też zająć obiadem!

— A mnie co włazić w drogę Rzepeckiej, żeby mi głowę urwała.

— Obiad gotować czarownice! — krzyknąłem, że aż szyby zatrzęsły się w oknach.

— Wielmożny pan posponuje mnie przy ludziach — odparła ekonomowa.

— Obiad gotować!

Ekonomowa z przestrachu zamilkła. Stawił się z obcęgami i młotem kowal.

— Odbijaj zamek od lamusa!...

— Wielmożny panie! Rzepecka...

Wyrwałem kowalowi młot i jednem uderzeniem rozmiażdżyłem zamek — drzwi lamusu rozwarły się.

Po zgromadzonych przeszedł cichy szmer przerażenia.

— Drzewa na ogień — wody! — krzyczałem.

Parobcy i dziewki rzucili się po drzewo i wodę.

— Bierz co chcesz i gotój co chcesz, tylko prędko — za godzinę obiad!

W milczeniu przyjęto rozkazy. Ekonomowa i Kasia uzbrojone w rondle wpadły do lamusa.

— Wielmożny panie Rzepecka raki schowała! — zawołała uradowana ekonomowa.

— Zupa rakowa, szparagi, kurczęta, legumina — prędko!

Wróciłem do dworu starając się uśmiechać, jakgdyby mnie przed chwilą radosna niespodzianka spotkała.

— Cóż sąsiad tak wesoło wyglądasz, czy czasem nie list z Wronowa? — rzucił pytanie Dumcio wyciągnięty w fotelu z cygarem w ustach.

— Zkądże to dziwne a oryginalne przypuszczenie? — odparłem.

— Pięknie mi dziwne, a toć pańska Rzepecka i pański żyd przed całą okolicą roztrębują o tych listach wronowskich. Namawiałem pana na Fruzię bo prawda, że Fruzia komforcik — ale kiedy oni zemną tak, to niech tam pan ani zajrzy. Bo i co panu po Fruzi — kiedy pan złapiesz pałac — Wronów i pannę jak hrabiankę. Trybulski żeby za pana wydał córkę, toby dopiero dał. Nie będzie on dał jak ją weźmie Kaczkiewicz. — Dumcio zatarł ręce i zaczął się śmiać. — Tyle mojej zemsty — dodał.

Chcąc odwrócić niemiłą mi rozmowę:

— A więc od dziś za tydzień jesteśmy w Opoczyńskiem, zacząłem.

Dumcio się zerwał.

— Właśnie roboty w polu się skończą. Zostaje tylko ugór podkładać. Możemy i tydzień zabawić. Oświadczę się — dzień ślubu się naznaczy i wrócę dom urządzać... Pokażemy Trybulskim, jak się dowiedzą, że się żenię — popuchną z zazdrości! Szkoda tylko, że panna choćby z parę tysięcy rubli posagu nie ma na umeblowanie i kupienie powozu.

— Może się pan cofasz?

— Nie, nie — nie mam czasu na cofanie się — czterdziestka panie!

— A zatem upoważniasz mnie pan do napisania listu do kuzynki?

— Zaklinam pana, pisz pan, zaraz w tej chwili, list sam dziś oddam na pocztę.

Chcąc skrócić czas oczekiwania na obiad, wziąłem się do pisania. Dumcio zapaliwszy świeże cygaro, chodził wielkiemi krokami po pokoju — stawał, zamyślał się — często radośnie podskoczył, zacierał ręce powtarzając — przecie — nareszcie.

— Nie uwierzy pan jak mi się przykrzą te ciągłe konkury, bo to już tak trwa ośmnaście lat bez sześciu miesięcy. — Pomyśl pan wiele wydałem pieniędzy i co straciłem w gospodarstwie przez brak dozoru. No, ale jak się przecie raz ożenię, przynajmniej przez dwa lata nie ruszę się

ani na krok z domu! Trybulskim pokażę żonę tylko w kościele i co mi zrobią?

Józef dał znać o wazie na stole. Podałem rękę Dumciowi — śmiał się serdecznie z tego rodzaju etykiety, uważając ją, za wesoły koncept z mej strony.

Przy obiedzie wypiliśmy na powodzenie przyszłej podróży — prędkiego ożenienia — za zdrowie państwa młodych i zdrowie przyszłych — z kolei i porządku dzieci.

Dumcio pił, śmiał się głośno, a przy zdrowiu przyszłych sąsiadów i obywateli spłakał się.

Postanowiliśmy, że w sobotę przyjadę do Dumcia na śniadanie i razem wyruszymy przez Kielce w drogę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PODZIEMIA WARSZAWSKIE

napisał

Dr. JAN STELLA SAWICKI.

W pewnem towarzystwie, w Genewie, spotkałem urzędnika-Moskala, który w podziemiach warszawskich poszukiwał rewolucyjnych archiwów. Opowiadanie jego było tak interesujące, że powróciwszy do domu zapisałem je, aby przechować i to wspomnienie z r. 1864.

Dla zbadania lochów podziemnych, o których dawno już mówiono w Warszawie, wyznaczono komisję, składającą się z inżyniera, budowniczego, członka policji i kilkunastu robotników z łopatami i motykami.

Katakumby warszawskie w ogólności, są to dość wysokie sale i korytarze pod kościołami, zbudowane po większej części w ziemi, mocno i starannie. Niektóre z nich przedstawiają rodzaj tunelów mających prawie cylindryczną formę, inne są to pokoje z gotyckiemi sklepieniami, arkadami i kolumnami. Są podziemia o dwu piętrach — te nazywają się dubeltowemi, są i takie nakoniec, które przedstawiają dość ciekawą komunikację podziemną tak, że spuściwszy się do piwnicy pod jednym domem, można przejść do piwnicy pod drugim, trzecim i t. d. Karmelickie katakumby na Krakowskiem przedmieściu przedstawiają cały labirynt wysokich sal, pokoi, przejść, korytarzów, ciemniczek i korytarzyków, w których zabłądzić bardzo łatwo, tak, że bez dobrego przewodnika niebezpiecznie puszczać się w drogę. Są to budowy sięgające odległych czasów.

Dnia 23. września, opowiadał urzędnik moskiewski, rewidowaliśmy św. Jański kościół, czyli farę. Zawoławszy zakrystjana, kazaliśmy staremu pokazać, gdzie się wchodzi do podziemia. Zakrystjan ruszył ramionami i odpowiedział, że o niczem nie wie. Musieliśmy więc szukać sami, a to nie taka łatwa robota, bo potrzeba było powoli przejść cały kościół, uderzając za każdym krokiem motyką o kamienną podłogę. Robotnicy zaczęli pracę, ale po godzinie nic jeszcze nie znaleźli, a zakrystjan stał nad nimi i mówił: „nie ma, nie było i nie będzie“. Wtem niedaleko od korytarza, prowadzącego ku zachodniemu wejściu, obok zakrystji, motyka uderzywszy o podłogę, wydała dźwięk, zdradzający próżną przestrzeń.

Po długich usiłowaniach, robotnicy podnieśli ciężką płytę i pod nią odkrył się ciemny, dość głęboki wchód do katakumby. Spadziste, kamienne schody prowadziły do niej. Spuściliśmy się i przeszedłszy wązki korytarz, weszliśmy do wielkiego kwadratowego pokoju z gotyckiem sklepieniem. Zaledwo latarnie i świece oświeciły ściany, usłyszeliśmy w powietrzu tajemniczy szmer i ruch, i wkrótce zobaczyliśmy mnóstwo nietoperzy, które latały we wszystkich kierunkach. Światło wśród tej grobowej ciemności, było takiem nowem zjawiskiem dla żywych podziemnych mieszkańców, taką niespodzianką, że jak szalone rzucały się na nas i na ogień, niby protestując przeciw naruszeniu ich spokoju.

Katakumby były zapełnione trumnami. Wiele z nich całkiem już spróchniało, rozsypało się i razem ze zgniłemi dawnemi mieszkańcami swemi i ich odzieniem stanowiło grobowe próchno. Niektóre były jeszcze zupełnie dobrze zachowane, z innych zaś zeskoczyły wieka. Na podłodze, pokrytej grobowem próchnem i kośćmi w okropnej ilości, walały się rozrzucone żebra, czaszki i szczęki. W jednym kącie leżała wielka kupa czaszek; widać że ktoś i kiedyś robił tu porządek w tym chaosie resztek ludzkich. Pod nogami co chwila coś chrzęściało; były to kości i żebra, kruszące się pod naszym ciężarem. Czasami noga po kostki brnęła w to próchno, robiąc wrażenie, jakby się stąpało po zgniłem drzewie. Czasami przy nastąpieniu na wieko trumny stojącej na ziemi, noga zapadała tak głęboko, że tylko z wielkim trudem można ją było z tamtąd wydobyć. Co chwila czaszki uderzane nogami odlatywały na stronę.

Żołnierze, użyci do roboty, prędko przemogli instynktową odrazę, której doznaje człowiek przy zetknięciu ze śmiercią. Szukając czasem po siedm i więcej godzin w próchnie schowanych papierów, potem już najspokojniej zajadali chléb przyniesiony z sobą i odpoczywali leżąc w tem próchnie, podłożywszy wieko trumny pod głowę. Robota nie była łatwa, bo wszystko potrzeba było przewrócić do góry nogami.

Między rozwalonymi grobami pierwszej sali św. Jańskich katakumb, zwrócił uwagę naszą jeden trup, leżący w trumnie, której wieko było nieco usunięte. Trup leżał nie tak jak zwykle kładą umarłych, lecz na twarzy. Ręce były podłożone pod czaszkę, palce zaciśnięte, noga założona na nogę, a niektóre mięśnie jeszcze się zachowały doskonale, miały brunatny kolor i były miękkie i ślizkie jak zgniłe drzewo. Nieszczęśliwy był widać żywo pogrzebany w letargu i przebudził się w trumnie. U innego trupa, który doskonale zachował formy ciała, mięśnie zupełnie wyschły i przyległy do szkieletu. Gdzieniegdzie zachowały się jeszcze włosy, a ciało miejscami odpadłe od kości, wyglądało jak czyste białe wapno.

Ściany tej katakumby wymurowane są z bardzo starych cegieł, które różnią się od teraźniejszych wielkością i żółtym kolorem. Cegły były pokryte aksamitnym mchem i rodzajem grzybków. W innych miejscach utworzyły się na ścianach osady skrystalizowanej saletry i kryształiki jej błyszczały przy świetle jak djamenty. Ten sam osad pokrywał często i kości, tak, że kilka razy przelękliśmy się, idąc ze światłem i nagle widząc srebrzącą się czaszkę, na której czole błyszczały opale i brylanty.

W szparach między cegłami roili się tutejsi mieszkańcy. Zawiesiwszy się tylnemi nogami za występy murów, nietoperze, wisiały nieruchomie głowami na dół, czasem parami, często rzędem całym tak, że można było brać ich rękami, co też robili robotnicy, ażeby zanieść potem dzieciom do zabawy.

W lewej ścianie od wchodu znaleźliśmy drzwi, prowadzące do drugiego pokoju, służącego za przejście między dwiema podziemnemi salami. W głębi widać było arkadę, która prowadziła dalej. Skierowaliśmy się ku tej stronie i stanęliśmy w wielkiej i długiej izbie. Nad nami wisiały ponure, ciemne sklepienia, tonące w głębi nocy i w jakiejś mgle, do której nie dochodziło światło naszych pochodni. Nagle zauważaliśmy dziwne zjawisko — świece zaczęły tracić blask swój zwyczajny. Nie zrozumiawszy co to ma znaczyć posuwaliśmy się ciągle naprzód.

W tej katakumbie śmierć panowała w całem znaczeniu tego wyrazu; tu już nie było nietoperzy, ani grzybków, ani mchu. Jakaś duszna, ciężka suchość napełniała atmosferę. Szliśmy po głębokiem grobowem próchnie; pod nogami trzeszczały kości. Była to kasza, w której pomięszały się zgniłe trumny, ciała, zardzewiałe ćwieki, galony złote i srebrne, łachmany odzienia i łachmany ciała ludzkiego, które u trupów dawno pochowanych w suchem miejscu przeistacza się z biegiem czasu w twardą masę podobną do białego wapna, a czasami w masę, podobną do mydła albo do zgniłego drzewa. Warstwa tego próchna miała w wielu miejscach łokieć głębokości. Na samym środku katakumby stała czarna wielka trumna ze srebrną blachą. Wieko jej zsunęło się na ziemię. W trumnie leżał szkielet odziany w wełnianą sutanę; czaszka była pokryta czarną czapeczką. U największej części trupów, które widzieliśmy, czaszka była oddzielona od słupa pacierzowego i zsunęła się ku nogom, u tego zaś leżała na swojem miejscu. Każda z czaszek, szczególnie jeżeli należała do skieletów, które zachowały jeszcze odzież, miała jakiś właściwy, indywidualny wyraz charakterystyczny. Jedna z nich wystawiła białe błyszczące zęby, a na ogromnych szczękach zawisł jakby uśmiech sarkastyczny. Druga tak dziwnie jakoś patrzyła zapadłemi, czarnemi otworami oczu, że brała chęć powiedzieć jej: „głupia“. Trzecia której kości nad oczyma były mocno rozwinięte, miała surowy wyraz. Inne czaszki były zupełnie spokojne, z wyrazem zastygłego cierpienia i tęsknoty. Samotny trup, znajdujący się pośrodku katakumby patrzał na nas groźnie i sarkastycznie, jak gdyby pytając po co ludzie żywi, a do tego jeszcze Moskale, przychodzą zakłócać spokój ich ostatniego schronienia. Na tablicy przeczytaliśmy: „Kanonik Dąbrowski zmarły w r. 1831.“

W około wielkiej jego trumny leżą resztki złocistego ubrania biskupiego, lecz sam biskup oddawna już się zmięszał z grobowem próchnem innych.

Tym czasem pochodnie, świece i latarnie świeciły coraz ciemniej, a my nieukończyliśmy jeszcze rewizji katakumb. W chwili gdy skierowaliśmy się w głąb sali, zgasła jedna świeca, potem druga i pochodnia. Jedna tylko latarnia słabo oświecała podziemie. Próbowaliśmy zapalić świece, lecz zapałki gasły jedna za drugą. Nie czuliśmy żadnego zapachu, nawet zwykły zapach próchna czuć się nie dawał, a powietrza za każdym krokiem było coraz mniej. Oddychałem całą piersią i czułem, że mi brakuje czegoś, w uszach zaczęło dzwonić, w głowie się

*

kręciło, a światło w latarni stawało się coraz słabszem. Zaczęliśmy wołać na tych, którzy zostali w pierwszych salach; czekamy, przysłuchujemy się — odpowiedzi nie ma, jak gdyby dźwięk nie przebijał tej ciężkiej atmosfery. Położenie stawało się niebezpiecznem.

Nagle dwóch z nas osłabło; w oczach im się zaćmiło, w uszach szumiało, dostali nudności. Oddychać nie było już czem, bo w tem podziemiu, z rozkładu wielkiej ilości trupów wytworzył się kwas węglany i napełnił katakumbę. Potrzeba było uciekać i to uciekać jak najprędzej, ażeby nie pozostać tu na wieki. Cała nadzieja nasza polegała na latarni, która już tylko bardzo słabo świeciła dzięki nie wielkiej ilości powietrza znajdującego się w jej wnętrzu, a którego gaz jeszcze nie wyparł. W myśli stanęło nam groźne pytanie: a jak zagaśnie lampa i ze wszystkich stron otoczy nas nieprzenikniona ciemność, co wtedy zrobimy? Jak znajdziemy wyjście z tej ciemnej mogiły, mając dwóch chorych na rękach?

Nie czekając więc dłużej, chwyciliśmy chorych pod ręce i sami chorzy i prawie oszaleli ze strachu pobiegliśmy ku wejściu, potykając się na każdym kroku o trumny i trupy. Żołnierz z latarnią był na przodzie i oświecał przestrzeń zaledwo na kilka kroków. Do arkady było jeszcze daleko, knot się zaledwo palił, oddechu brakło. Wtem pod nogą coś mi chrzęstnęło i schwyciło za but. Podniosłem nogę, — była to czaszka, której sklepienie rozgniotłem, a która wlazła mi tak mocno na nogę, że potrzeba było chyba usiąść ażeby ją ściągnąć. Chcąc niechcąc musiałem biedz dalej z tym nieprzyjemnym dodatkiem.

„Arkada," krzyknął żołnierz na czele idący. Chwała tobie Boże! Szybko przebiegliśmy przez nią i przez salę do pierwszej katakumby. Boże mój! Jak tu powietrze zdawało się przyjemnem. Jak pełną piersią odetchnęliśmy. Z tą rozkoszą nie wiem co porównać. Nawet nietoperze wydawały się nam czemś miłem i pociągającem w obec otaczającej nas zewsząd śmierci.

Wylazłszy z katakumby do kościoła słabi nasi przyszli do siebie powąchawszy spirytusu amoniakowego, który z ostrożności wzięliśmy z sobą.

Pozostawało zrewidować jeszcze jedną katakumbę, znajdującą się pod samym wielkim ołtarzem i znaną pod imieniem sklepu biskupiego.

Wejście do niej było przykryte jak i do pierwszej ciężką mogilną płytą z wytartym napisem.

Podczas gdy robotnicy zajmowali się podważeniem tej płyty, poszliśmy opatrywać godne uwagi pod artystycznym względem pomniki polskich magnatów, które upiększają ściany fary. W zagłębieniu z czarnego marmuru, na lewo od głównego wejścia, pod arkadami podtrzymującemi massywne chóry głównego organu, prawie naprzeciwko portretu prymasa Poniatowskiego są dwa jeszcze portrety. Na jednym mężczyzna w ubiorze XVIII wieku. Twarz jego ożywiona rozumem i namiętnością, nosi na sobie ślad południowego pochodzenia. Na drugim młoda kobieta, z rysów widać że Polka, mająca włosy upudrowane. Twarz jej tchnie świeżością i pięknością. W wielkich błękitnych oczach wiele rozumu, dobroci i miękkości, w uśmiechu igra trochę kokieterji, a odkryta pierś — przecudnej piękności. Podpis mówi, że są to portrety nadwornego malarza Bocciarellego i żony jego Marjanny.

Napatrzywszy się na portret pięknej Polki, poszliśmy rewidować sklep biskupa, nad którym płytę już podniesiono.

Kamienne, dość szerokie schody prowadzą do pięknego i suchego sklepionego podziemia. Wprost naprzeciwko wejścia znajduje się różowa, aksamitna, obita wyzłacanemi ćwieczkami trumna, w której spoczywa ostatni, znakomity z polskiego powstania arcybiskup Fijałkowski. Obok niego stoi massywna z białego marmuru trumna arcybiskupa Witwickiego i jeszcze dwie trumny biskupów augustowskich. Z ostatniego zdjęte wieko i można widzieć długi skielet ubrany w aksamitne złotem szyte szaty. Sklep ten już pewnie nie raz był odwiedzany, bo wierzchnia płyta marmurowego sarkofagu Witwickiego była zsunięta i niedokładnie położona na miejsce; część zaś jej była odkruszona jakiemś narzędziem służącem do podważania. Trudno wymyślić lepszego, więcej bezpiecznego i spokojnego schowku na archiwum rewolucyjne. Rzuciliśmy się do sarkofagu, z wielką niecierpliwością zdjęliśmy wieko, lecz w trumnie nie znaleźliśmy nic, tylko biskup wyszczerzył zęby szydersko patrząc na nas swemi ciemnemi oczami. Wzdłuż prawej ściany od wchodu stoją jeden nad drugim dwa sarkofagi; z górnego wierzch był zdjęty. W grobie tym leżał skielet ubrany w pyszną jedwabną suknię słomianego koloru, obszytą wstęgami i drogiemi koronkami, które przechowały się doskonale. Z białych rękawiczek sterczały kości palców. Na nogach zachowały się jeszcze jedwabne pończochy i zgrabniutkie trzewiczki, jakie tylko szewcy warszawscy robić umieją. Czaszka na białej atlasowej poduszce leżała na swojem miejscu, biały obszyty koronkami czepeczek z białemi szerokiemi wstęgami nie pozwolił odpaść dolnej szczęce. Dwa rzędy zębów perłowej białości błyszczały w szczękach. Widać było, że zmarła miała niegdyś czarujący uśmiech. Miejscami na czaszce utworzył się saletrowy osad i błyszczał jak srebro. Z pod czepka, z boku wysuwał się lok włosów, a całe ciało było usiane skórkami zeschłych robaków, które na nim warstwami osiadły.

Długo patrzyłem na ten przystrojony skielet gdy nagle zauważałem, że wewnątrz lewego oka coś się porusza. Zbliżam się i patrzę — to mały nietoperzyk, przestraszony światłem, kurczy się i tuli w swem pomieszkaniu. Na srebrnej blaszce przyczepionej do trumny był napis: Marjanna Bacciarelli 1809."

Więc to ta Marjanna Bacciarelli, ta piękność promieniejąca na portrecie młodością, życiem, gracją i kokieterją! Ta to więc piękność która może nie jednego pozbawiła rozumu, a teraz — wstrętny skielet i pastwa robaków!

Sarkofag Marjanny zmarłej 1809 r. stoi na trumnie męża zmarłego w dziewięć lat po niej. Zapewnie przez nieostrożność przy spuszczaniu trumny żony na grobowiec męża został tenże zdruzgotany.

Chociaż zakrystjan fary przysięgał i upewniał nas najprzód, że w kościele nie ma podziemia, a potem, że za jego pamięci, w ciągu długiej służby nikt tam nie wchodził, jednakże trumna żony Bacciarellego znajdująca się bez żadnej loicznej przyczyny na trumnie męża, który zmarł później dowodzi, że ktoś gospodarował w tym sklepie. W jakim celu? Niewiadomo.

Mogli rozumie się gospodarować; i robotnicy przy otwarciu sklepu do spuszczenia trumny arcybiskupa Fijałkowskiego, lecz w sklepie jest zbyt wiele miejsca ażeby potrzeba było jakiemś ostrem narzędziem podnosić wieka trumien, które nikomu nie przeszkadzały, lub przestawiać trumnę jedną na drugą. Kto to zrobił i po co? Zakrystjan powinien to był wiedzieć, ale stary milczał jak trumna...

BĘDZIE TO LEPIEJ.

Cyt! Cyt! panienko — obetrzyj oczka,
Któż widział płakać, jak dzieci?
Patrz! Nadleciała wesoła sroczka,
Za nią kochanek nadleci —
Niech się nadzieją twe serce krzepi —
Przybędzie luby — i będzie lepiej...

A ty — autorze — czemuż wzrok dziki
Ludzi od ciebie odraża? —
Nie martw się — błysną szczęścia promyki,
Znajdzież nakładcę-księgarza —
Niechaj cię przyszła sława pokrzepi!
Znajdziesz nakładcę — i będzie lepiej...

Biedny studencie! Choć głód doskwiera —
Po nocach ślęczysz, nieboże...
Nowa dla ciebie nastanie era,
Kęs chleba będziesz mieć... może...
Chleb chociaż czarny — zawsze pokrzepi —
Jak posiwiejesz — będzie ci lepiej...

A ty kobieto! Szwaczko wzgardzona!...
W izbie twej pusto i chłodno...
Dziecię ssie życie z twojego łona,
Twarzyczkę tak ma pogodną... —
Gdy się twej szyi dziecię uczepi —
Jak możesz wątpić, że będzie lepiej? —

Matko! nie wątpij — Bóg miłościwy,
Tak cudnie lilje odziewa,
Tak pięknie w kwiatki ubiera niwy —
I karmi ptaszka, co śpiewa
Zaledwie gniazdko sobie ulepi:
«Bez gniazdka dobrze — lecz z gniazdkiem lepiej!

Druhu mój! Czemu smutne twe oczy,
A lica twoje w żałobie?
Duszę twą nędza narodów tłoczy,
Więc boleść łzawi się w tobie,
Niech Bóg w twem sercu wiarę zaszczepi:
Zwycięży prawda — i będzie lepiej!!

I mnie też będzie lepiej na świecie,
Lecz wtedy tylko jedynie,
Kiedy ten ciężar, co ludzkość gniecie,
W mgłę się poranną rozpłynie...
Dziś nic smutnego serca nie krzepi,
Choć śpiewam sobie, że będzie lepiej!...

Bolesław Cz.

ODPOWIEDŹ ADOLFOWI C***

Gdy spi ziemia, mówią nieba,
Radbym błądzić za tęczową,
Za powiewną gwiazd królową...
Lecz nie za nią iść mi trzeba.

Nie mnie patrzeć w księżyc blady,
O! nie mnie być marzycielem;
Raczej badać ze skalpelem
W ręku społeczeństwa wady.

Nie mnie splatać wieńce z ziela,
Nie mnie zrywać bujny kwiat
Co kielichem w niebo strzela,
Ale trzeźwo patrzeć w świat.

... Lecz gdy szata jej powiewna
Przemknie z cicha, zaszeleści...
Już się w piersi niepomieści
I uleci — piosnka rzewna.

Wiktor Gryf.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Lwów już rozbawił się na dobre. Puszczone naprzód baloniki prywatnych wieczorków dla zbadania prądu, dały poznać, że wielkie balony jakiemi będą bal prawników, bal na szpitalik św. Zofji i bal spółki różnych stowarzyszeń powinny się udać wyśmiemicie.

Z tego co dotąd się działo na woskowanych posadzkach salonów lwowskich, nabyliśmy przekonania, że płeć piękna w tym roku obdarzoną jest daleko większą chęcią do zabaw, niż płeć brzydka, a wśród tej ostatniej stara gwardja lepiej dotrzymuje placu niż nowo-zaciężni. Szanowni ci młodzieńcy z lekkim zarostem na twarzy, stają się coraz bardziej sensatami, a co gorsza, po każdej zabawie, pozwalają sobie w miejscach publicznych, jakiemi są cukiernie, kawiarnie i restauracje — zanadto głośnej i zanadto płaskiej krytyki o rzeczach i osobach, które ich gościnnie u siebie przyjmowały. Słuchając tego wszystkiego z daleka, robi to wrażenie owej wróblej rady z bajki, na której owi konsumenci chłopskiej pszenicy, bez miłosierdzia brali wszystkich na nice. Chciałbym, aby te piękne i uprzejme gospodynie kłopoczące się na tydzień przed zabawą, czy goście w ich domu znajdą wszelkie wygody, te gospodynie, które na drugi dzień po zabawie nie czują nóg swoich od znużenia — posłuchały kiedy tych nicowań swojej kolacji, swego wina, swej muzyki i urządzenia zabawy, a jestem przekonany, że do końca swego życia zrzekłyby się urządzania jakich bądź tańcujących wieczorków. A tymczasem rzecz sama ma się zupełnie inaczej. Widziałem na własne oczy tych wróbli-lowelasów wycierających ściany salonów, na kształt sprzętów kompletnie nieużytecznych, nawet do froterowania posadzek. Aż litość bierze patrzeć i podziwiać uprzejmość pań tańczących, gdy im przyjdzie podać rękę takiemu dryblasowi, pozbawionemu taktu i w głowie i w uszach i w nogach. Niedość, że wobec ich niezgrabności toaleta pań narażona jest na niebezpieczeństwo, że z tańca wychodzą tak poszturchane i obite, jak ulęgałki, że muszą rumienić się za ich zawadjackie miny przypominające trochę salę w jezuickim ogrodzie, jeszcze później są przedmiotem pseudo-dowcipnej krytyki publicznej w knajpce, gdzie się je bez ceremonji nazywa Mańcią, Zosią, Wikcią, Adelcią i t. p... Ostrzegamy zatem czytelniczki o tego rodzaju rozbójnikach salonowych (ma się rozumieć w znaczeniu rozboju dokonywanego w tańcu) i radzimy mieć się na baczności.

Jak dla nas zwyczajnych śmiertelników, karnawał jest koroną zabaw całego roku, tak znowu dla wszystkich ciężko funkcjonujących instytucyj galicyjskich początkowe miesiące roku — są także karnawałem dla walnych zebrań. Towarzystwo gospodarcze, Towarzystwo techników, Przyrodników, Przemysłowców i t. p. odbywają narady i robią rachunki sumienia. Nawet rzemieślnicy lwowscy zrobili miting i zażądali powszechnego głosowania, tudzież zmiany ustawy przemysłowej. — Jeden tylko teatr posmutniał, i nie chce dać ani jednej reduty w tym roku. Bogiem a prawdą nie mamy czego żałować, maskarady teatralne nie odznaczały się niczem we Lwowie, i jak się zdaje doskonale dają się zastąpić przez jaśnie oświecone reduty, odprawiane w sali restauracyjnej pana Finka w ogrodzie pojezuickim. Powiedzieliśmy jaśnie oświecone, bo rzeczywiście anonse o tych redutach, chodzą same po ulicach ubrane w płomienisty transparent, który posługacz miejski nosi na głowie.

Z poważniejszych spraw ubiegłego tygodnia, mamy znów do zanotowania śmierć posła Ludwika Skrzyńskiego. Czyżby delegaci nasi do Rady państwa mieli w charakterze swoim coś kardynalskiego? Wiadomo bowiem, że ci dygnitarze kościoła nie umierają nigdy pojedyńczo, tylko trójkami; więc niechże już koniec będzie tym śmierciom kardynalskim, bo nim nastąpią nowe wybory i dokompletowanie Koła polskiego, centraliści gotowi nam się dać we znaki. Dalej, patrząc na zabiegi Stańczyków i demokratów lwowskich, pragnących gwałtem zaanektować nowego marszałka krajowego dla siebie, przychodzimy do przekonania, że p. Zyblikiewicz pod szczęśliwą gwiazdą się urodził. W ciągu jednego miesiąca otrzymał order wysoki, krzesło w Izbie panów i marszałkostwo krajowe. Nic więc dziwnego, że takiego szczęśliwca, każde stronnictwo pragnie mieć u siebie. Czasowi krakowskiemu wprawdzie ciężko przyszła ta chęć anneksji, krztusił się, wywijał pisząc artykuł o nowej nominacji, aż w końcu zmuszony liczyć się z faktem spełnionym, zdecydował się nobilitować p. Zyblikiewicza i przyjąć z wielkim bolem serca w poczet najmłodszych braci. Za to prasa lwowska otwiera mu na roścież ramiona i uważa sobie za zaszczyt, gdy mąż zasługi i talentów przewodniczyć nam będzie. Ciekawi jesteśmy jak szanowny marszałek w tym wypadku sobie postąpi? Podług nas, to zawsze przyjemniej być pierwszym tutaj niż w krakowskiej partji ostatnim.

Czeska osada pod Berlinem.

Nic tak nie dziwi i nie gniewa buty zwycięzców z pod Sedanu, jak widok niższej, według ich zdania, narodowości, opierającej się dobroczynnemu, także według ich zdania, pochłonięciu przez wybrany od Boga, wszechpotężny germanizm i rozpłynięciu się w żołądkowym jego soku...

Ludy, które uzuchwalają się do tego stopnia, iż pracują nad wybiciem się z pod supremacji duchowej niemieckiej, są barbarzyńcami, gorszymi od tatarów i kałmuków!

Niestety, w drugiej połowie XIX wieku wszystkie ludy słowiańskie, jedne dłużej, drugie króciej, jedne lżej, drugie mocniej *przyciskane* do piersi matki Teutonji, odrywają się od niej z całym wysiłkiem, na jaki zdobyć się mogą.

Inde irae!

Ztąd sypią się gromy bez liku na głowy wszech wobec i każdego po szczególe, co dla odrębności słowiańskiej pracują; najwięcej dzisiaj dostaje się Czechom, *vermaledeite Zopfaken* są klinem słowiańskim w samym boku Germanji sterczącym, a jednak nie chcą... zostać Niemcami.

A jeszcze na początku naszego stulecia tak pięknie maszerowali w jej objęcia, dostarczając nieocenionym systematom Meternicha i Bacha nie szpetnego kontyngensu biurokratów i rozkrzewicieli samozbawczej kultury w takich półazjatyckich krajach, jak Galicja, Węgry lub Chorwacja...

Śnadź *zła krew,* niegodziwa, uporna, płynie w żyłach tego dziwnego ludu, że dziś, tak ni ztąd ni zowąd ruszył w kierunku, z którego żadne przełożenia Herbstów, Strebmajerów, żadne łajania różnych *Press i Blattów* zawrócić go nie mogą...

Jak złą i przewrotną jest krew czeska, za najbardziej rażący dowód niech posłuży istnienie kolonji czeskiej pod samym Berlinem!

Incredibile auditu et horribile dictu! istnieje ona już przeszło lat 120, zowie się.. *Rixdorf* i jest siedzibą emigrantów czeskich wyznania reformowanego.

Ład, porządek, pilność, zamożność, zdrowy, trzeźwy duch zjednały Rixdorfowi sławę nawet u samych Niemców, a jednakże mieszkańcy używają ojczystej czeszczyzny od kolebki do grobu.

Dziecko do piątego lub szóstego roku życia nie umie zwykle ani słóweczka po niemiecku, języka tego naprawdę uczy się dopiero w szkole.

Fryderyk II, który nadał Rixdorfowi różne przywileje, przyobiecał czeską szkołę „na wieczne czasy", ale obietnicę tę naruszyła dłoń potomka szlachty pomorskiej, ks. Bismarka.

Mimo to Czech z Rixdorfu modli się po czesku, chrzczą go, konfirmują, żenią, grzebią po czesku.

Zamiłowanie w języku ojczystym nie opuszcza Rixdorfianina po za granicami nawet swej osady.

U znanego autora czeskiego Józefa Wacława Fricza, bawiącego czas jakiś w Berlinie, zebrało się kółko rodaków i rozmawiało ojczystym językiem.

Nagle w oknie błysnęła *pikelhauba* grenadjerska, i zdawało się, że właściciel jej pilnie przysłuchuje cię rozmowie toczonej w pokoju.

Gospodarz rozgniewany wyszedł, aby odpędzić natręta, ale jakież było jego zdziwienie, gdy olbrzymi wojak, będący, jak się pokazało, rodem z Rixdorfu, wyrzekł błagalnym głosem:

— Nie odpędzajcie mnie, panowie, tak słodko i miło słyszeć taką piękną czeszczyznę...

Nie pozostawało więc nic innego tylko miłośnika pięknej czeszczyzny do pokoju zaprosić!

Wszyscy Czesi z Rixdorfu są zamożni, bogaci nawet, mają domy swoje w Berlinie.

Do tego doszli przez pracę, pilność i oszczędność — przymioty, do nabycia których niekoniecznie trzeba... Niemcem się urodzić!

B. G.

KORRESPONDENCJE.

Paryż w styczniu 1881 r.

(I) Dziwne to miasto ten Paryż. Sceptyczne i religijne zarazem, zakochane w wszelkiego rodzaju nowostkach, i jednocześnie, zakrzepłe w wszelkiego rodzaju rutynach, jak mało inne na świecie. Cudzoziemiec goszczący w murach jego podczas świąt Bożego Narodzenia naprzykład, nie wie jak sobie wytłumaczyć tę różnostronność jednego i tego samego społeczeństwa. Czytając dzienniki, przysłuchując się prywatnym gawędkom, uczęszczając do teatrów, nabiera przekonania, iż Paryżanie to naród ostygły dla religji zupełnie, tak z niej drwi, tak ją nicuje, tak ją byle pierwsza przedrzeźnia okazja. Tenże sam cudzoziemiec, jeśli koło północy w wigilją Bożego Narodzenia, po świątyniach miejskich przedsięweźmie wędrówkę, w każdej, tłumy korzącego się dostrzegając pospólstwa, wręcz przeciwne o usposobieniach jego wyrobi sobie przekonanie.

To samo i co do drugiej rzeczy. Gdzież jest lud bardziej podległy choćby najdziwaczniejszym kaprysom mody? Bardziej się do nich zastosowujący, bardziej „nowe sitko na kołek“ za swą absolutną przyjmujący dewizę? I gdzież jest lud zarazem, niektóre staruteńkie a między nami mówiąc dość głupiuteńkie zwyczaje z bardziej upartą przechowujący wiernością? Oto przykład. Jeden z tysiąca. Nie „reweillonować“ (reveillonner), to jest, nie jeść kolacji po północy, wychodząc z pasterki, i przy niej białej kiszki z drobiu, (boudin blanc) jakiemś lepszem, lub gorszem, stosownie do możności, nie zakropić winem, miałby Paryżanin nie za grzech śmiertelny, nie, bo w takowy już nie wierzy, lecz za jakąś nieznośną i ujmę mu przynoszącą prywację. Wesół, czy smutny, zdrów, czy chory, „reweillonować“ musi i „reweillonuje“, sam nie raz z tego obowiązkowego szydząc posiłku. Wszyscy to czynią. Bogaci w którejś z eleganckich bulwarowych restauracji, spraszając licznych przyjaciół; ubodzy w jakiejś potulnej zaułczanej karczemce, gdzie ostatnie nieraz, w lombardzie na materac pożyczone, przepijają pieniądze. Bądź co bądź wesołość tradycyjna, obstalowana na ten dzień a nie na inny, wyżej i niżej, wszędzie hucznem rozlega się echem.

Obcierając usta po takowej wieczerzy i ku domowi chwiejnym dość często zdążając krokiem, Paryżanin również uważał by się za upośledzonego, gdyby w jednej z budek garnirujących bulwary, i całą noc świąteczną stojących otworem, jakiegoś nowowymyślonego nie kupił „figielka“. „Figielki“ te „łamigłówki“ różnych form i kształtów, zwane tutaj „pytaniami“ (questions) i niektórych popularnych dorocznych faktów ozdobione etykietką „Question Dulcigno“, „Question Naquet“ (propozycja rozwodowa) „Question des decrets“ (wypędzenie Jezuitów) wreszcie, nader nawet zkąd inąd poważne zaprzątają umysły. Widzieliśmy sędziwych mężów suszących nad tem głowę, jak złączyć lub rozłączyć z sobą dwa kółka miedziane, na czem właśnie sekret łamigłówki zależy, i tryumfujących szczerze, gdy do tak ważnego dotarli rezultatu. Sprytni wynalazcy podobnych sztuczek (co roku nowych) nieraz na tym przemyśle krągłą w ciągu dni świątecznych robią fortunkę. Specjalną tą industrją zatrudniają się mieszkańcy przedmieść paryskich. Jest ona jak gdyby ich monopolem. Na chłodnych poddaszach, w zadusznych piwnicach, setki majstrów cały rok Boży myślą nad tem, czem by nowem w tym rodzaju, paryskiej przysłużyć się „badoderji“ (badauderie, nie znam na to polskiego terminu). I wymyślają czasem bardzo sprytnie, trzeba im oddać tę sprawiedliwość. Gdyby inwencyjne swe zdolności do bardziej serjo zastosowali celów, nie raz i nie dwa zapewne ludzką wiedzę jakiemby nowem wzbogacili odkryciem. Gdzietam. Rutyna przykuwa ich do fabrykacji takich tylko fatałaszek i ani się z pod niej wyłamać nie kuszą.

A rutyna podarunkowa (les etrennes) to mi dopiero uciążliwy podatek Skarżą się nań sami Francuzi, protestują przeciwko niemu półgębkiem, ale żaden nie ma dość cywilnej odwagi, by się mu oprzeć stanowczo i otwarcie. Daje i dawać będzie każdemu. Garsonowi kawiarni lub restauracji, w której raz kiedyś zjadł śniadanie, golibrodzie, który mu raz kiedyś przystrzygł czuprynę, stróżowi miejskiemu, który bruki przed oknem jego zamiata, listonoszowi, czyścicielowi kominów, zapalaczowi latarni, i t. d., i t. d. bez końca. I żaden z tych panów nie czeka, aż mniej więcej z usług jego zadowolony, uznasz za stosowne, zadowolnienie twe z okazji nowego roku, w mniejszym lub większym wyrazić podarunku. Bynajmniej. Przychodzą sami. Wyciągają dłonie, upominają się o gościniec jak o należytość. I, jeśli sumka ofiarowana nie odpowiada nadziejom ich i przypuszczeniom, nie raz ci to niegrzecznym, opryskliwym, dadzą poczuć mrukiem. Człowiek najuboższy i tem samem zmuszony do ścisłej oszczędności, nie wywinie się od tej grożącej kieszeni jego obligacji, (grosz dodany do grosza sporą w końcu stanowi sumkę) jak chyba wyjeżdżając, lub udając, iż wyjeżdża. Są, którzy tak czynią. Ofiary rutyny, zamykają się w swych ciupach na tydzień przed Nowym rokiem, nie wychodzą z nich jak w tydzień po nim; niechże się potem Francuzi z dzikich chińskich lub Japońskich, śmieją obyczajów. Ich własne, cywilizowane „par excellence“ nie raz stokroć bardziej śmiechu są godnemi.

Skończyły się święta i długi dwumiesięczny karnawał, szeregiem maskowych rozpoczął się balów. Niewiem czy to wpływ starości, szkiełka której wszystko mi w mniej różowem przedstawiają świetle, ale sprzeczałbym się prawie, iż dawniej, lat temu dziesięć lub dwanaście, przed ostatnią wojną bawiono się tu szumniej i weselej. Bądź co bądź poniesione klęski, jakkolwiek niby to pozornie zapomniane, wbrew twierdzeniom powszechnym, iż naród francuski o odmszczeniu ich nie myśli, bądź co bądź powiadam poniesione klęski, zabliźniona być może, lecz niewygojona rana, przypominają się mu ciągle, we wszystkiem, i ochoczej jak dawniej przeszkadzają zabawie. Brak przytem monarszego, wystawnego, jak niegdyś cesarski, dworu, jedną więcej przycichnięcia publicznych zabaw służy przyczyną, Prezydent Grevy nie wstanie wypełnić tej próżni. Raz dla tego, iż lista jego cywilna 600.000 fr. miast jak cesarza 30,000.000 fr. rocznie, na to nie pozwala. Drugi raz dla tego, iż biedny mieszczuch, adwokacina, dorwawszy się do tak świetnego stanowiska i nie pewny jak długo na niem pozostanie, myśli przedewszystkiem o oszczędności, o zachowaniu sobie na jutro, choćby siakich takich świetnego dzisiaj okruchów. A przykład zawsze płynie z góry „Quand Auguste buvait, la Pologne etait ivre“ znany dystych francuski śmiało by tutaj zastosować można. Kiedy Napoleon III. hulał, Francja cała nie wiedziała co robić z groszem i spieszyła na wyścigi, kto je prędzej za okno wyrzuci, a gdy dziś pan Grévy oszczędza, Francja cała myśli o jednem, o zebraniu kapitałów. Tem lepiej dla niej zapewne, ale tem gorzej dla kronikarza, który mało o czem mówić wam znajduje.

W teatrach, oprócz operetek (co raz to lichszych, nic dziwnego, ostatnie to tego rodzaju sztuki, podrygi) nowości serjo, nowości godnych wspomnienia, nie wiele. W „Gymnase“ „Zacni ludzie“ (Les braves gens) komedja Pana Gondinet upadła po kilku zaledwie przedstawieniach. W „Palais-Royal“ „Rozwodźmy się!“ (Divorsons!) farsa Sardou względnem tylko, raczej reputacji autora, niż dobroci rzeczy zawdzięczalnem, cieszy się powodzeniem. W „Théatre des Nations“ „Garibaldi“ głupi melodramat Pana Bordone codziennych skandalów i utarczek między fotelową i paradyzową publicznością służy powodem. Jeden tylko „Chatelet“ z „Michałem Strogoff“ przerobionym na dramat romansem Pana Verne istotne sztuk złota i oklasków zbiera żniwo. I ani słowa iż sprawiedliwie, nie dla szczególnej jakiejś dobroci dzieła, lecz dla doskonałości przedstawienia, lecz dla przepychu kostiumów i dekoracji, któremi dramat olśniewa widzów. Żadna z słynnych „feerji“ (féeries) paryskich, równać się z nim pod tym względem nie może. Dzienniki obliczają, iż pp. Rochard i Duquesnel (dyrektorowie „Chatelet“), koło miljona franków wyłożyli na jego przedstawienie. Przypuszczając nawet, iż cyfra nie przesadzona, cóż ztąd? pytamy, sala pełna po 10 lub 15000 dziennie przynosząca dochodu, w przeciągu stu pierwszych wieczorów (jak na Paryż to nie wiele) wyłożone powróci koszta, a w przeciągu stu następnych (śmiało za nie ręczyć można) inteligentnych wzbogaci przedsiębiorców. To mi kraj i to mi miasto, nieprawdaż, gdzie wydatki na zabawy publiczne i dochody z nich ściągane, tak kolosalnemi obliczają się cyframi. Dużo jeszcze wody rzeki do morza poniosą, zanim Berlin czemś podobnem pochwalić się zdoła, jeśli to kiedykolwiek nastąpi.

„L'Ambigu Comique“ przygotowuje „Nanę“ pana Zoli wielkie na niej budując nadzieje. Osobistem przekonaniem naszem jest, iż się zawiedzie. Romans jeśli zalecał się czem, to chyba tylko kilku opisami. Te na scenie znikają. A znakomitej jakiejś intrygi a jakichś doskonale wystudjowanych charakterów nie widzimy w nim zgoła. Niższym jest pod tym względem o wiele od poprzednika swego „Assomoira“ i wątpimy by mógł posłużyć za kanwę do znośnego dramatu. Zresztą „qui vivra, verra“ zobaczymy.

W dziedzinie książkowej także zastój i cisza. Wydawcy w braku nowości, stare odgrzewają rzeczy. Jeden z nich ogłasza nowo odkrytą korespondencję między Panią Georges Sand i Alfredem de Musset, która to koresponden-

cja jeszcze bardziej niekorzystne światło na osobistość pierwszej rzuca pisarki. Z zasady przeciwny jestem takiemu wywlekaniu z grobu starych, zbutwiałych, rupieci. Co pytam światu na tem zależy, czy Georges Sand większą czy mniejszą była nierządnicą. Zostawiła dzieła sztuki? takowe na istotne zasługują uznanie? Czytajmy więc i wielbmy takowe. A sąd nad prywatnym jej żywotem zostawmy Bogu. Nam nic do niego. Jedno mnie tylko zadziwia w tej sprawie. Pani Georges Sand zostawiła dzieci. Syna Pana Maurycego Sand i córkę, żonę rzeźbiarza Cleisinger. Jak więc te dzieci na podobne zezwalają publikacje? Jak choćby kosztem całej fortuny nie starają się położyć im tamy? Tajemnica.

Aleksander Dumas (ojciec) będzie mieć wkrótce posąg na jednym z Paryskich placów. Szczerze się tem zająwszy, stowarzyszenie literatów francuskich zebrało potrzebne na ten cel summy i skutek nie podpada wątpliwości. Posąg dla Aleksandra Dumas, gdy nie ma takowego Balzak, Beranger i t. d. może się komuś wydać anachronizmem. Nie przeczę ale lepiej coś, niż nic wcale. Alexander Dumas jakkolwiek mniej niżli dwaj wyżej wspomniani, zawsze jednak talentem swym na potomne zasługuje uczczenie. Nie bądźmy zbyt wymagającymi, z czasem przyjdzie kolej i na innych.

J. S. Chamiec.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Umysł i jego sprawy. Pogląd filozoficzny, napisał Ludwik de Laveaux. Lwów 1881 r.

Rodowód tego dzieła wypisuje autor w przedmowie następującemi słowy:

„Pewien młody umysł, począwszy myśleć samodzielnie, uczuł pragnienie, którego wyrazić nie umiał, a jednak instynktem wiedziony, dążył ciągle w jednym kierunku, oczekując jakiejś nieokreślonej, nieznanej mu rzeczy. Zabierał się on po kolei do rozmaitych nauk, ale rychło zniechęcał się do nich, spostrzegał bowiem, że nie może znaleść w nich zadowolenia i porzucał je, gdyż młodociany umysł nigdzie nie znajdował tego, czego pragnął i do czego tęsknił. Wreszcie zdało mu się, że jest poetą. A i czemuż nie miało mu się zdawać, skoro każdy młody jest poetą. Ale wkrótce pokazało się, że i na tem polu napróżno szukałby zadowolenia. Potrzeba było w inną stronę się zwrócić. Wyboru jednak już nie było; już nie pozostawała tylko filozofia. Więc błędny rycerz został filozofem niemal z konieczności. Wkrótce nabrał zamiłowania do filozofji; badał ją w książkach, w świecie i w sobie samym. Jednak po mozolnej pracy przekonał się, że nie wiele odkrył w księgach, nie wiele świat go nauczył i nie wiele znalazł sam w sobie. A to nie wiele,ta okruszyna mądrości, z trudem zdobyta, jakiejż była natury? Czy go przynajmniej choć w części zaspokoiła? Nie — spotęgowała tylko wewnętrzny jego niepokój, otoczyła go ciemnością i sprawiła w duszy ciszę grobową.“

„Cicho i głucho stało się w koło niego. Filozofia ukazała mu w całej nagości marność wszystkiego, co dotąd miał za rzeczywiste i wzniosłe; tylko *nieszczęściem* (tak) odróżniła go od zwierzęcia.(!!..)

„Ten stan rozpaczy stawał się co raz przykrzejszy w miarę jak się przedłużał. . Młody filozof począł już wątpić *w powrót* dawnego spokoju, gdy pewnego razu pogrążony w myślach, stanął jak wryty — jakaś myśl lotem błyskawicy uderzyła weń niby grom. Przez kilka chwil był niemy, nieruchomy i niewiedzący o sobie. Potem wychodząc z osłupienia, począł zdawać sobie sprawę z doznanego wrażenia i zastanawiał się nad pomysłem, który tak niespodziewanie i silnie nim wstrząsnął

„Rozważywszy go jednak, dziwił się tak gwałtownemu jego powstaniu, gdyż bardzo mało, prawie nic mu on nie tłómaczył. Mimo to powitał on nową myśl z radością, błoga bowiem nadzieja wstąpiła w niego, że będzie ona dlań punktem wyjścia do jakiegoś poglądu, który mu pozwoli chociaż w przybliżeniu wytłómaczyć sobie rzeczy dotąd niepojęte i odzyskać na nowo spokój wewnętrzny tak dawno utracony.

„Pomysł stanowiła tylko ta uwaga, że wszystkie przestwory świata, ze znajdującemi się w nich planetami, są jednem tylko ciałem, a więc że jako ciało są ograniczone i że tem samem materja nie jest ilością niekończoną, lecz ma swoje granice.“

Ustępy te są tak wymowne, że wystarczą najzupełniej za krytykę dzieła. Dodam tu od siebie, że oprócz powyższego pomysłu, który wprawił w osłupienie autora, są jeszcze inne, również nowe a przynajmniej oryginalne, które niezawodnie wprawią w osłupienie czytelnika.

Autor zatytułował swe dzieło: Umysł i jego sprawy. Tytuł ten jest niewłaściwy. Stosownie byłoby nazwać je pierwszą filozofią, gdyby na pożyczenie tego tytułu zgodził się p. W. Dzieduszycki, a następnie, gdyby wolno było nazywać filozofią gadaninę bez ścisłości i naukowych podstaw, pełną pretensjonalności i dziwactw.

Jaki miał zamiar autor, oddając swe dzieło do druku? Czy chciał obwieścić światu nową prawdę? Moglibyśmy go w takim razie zapewnić że tego rodzaju prawdami przepełnione są kroniki błędów ludzkich Czy może oddając je pod sąd publiczny, pragnął dowiedzieć się, jaka jest jego rzeczywista wartość? W takim razie zwracam jego uwagę, że był na to sposób o wiele tańszy, mniej zachodu wymagający, a w każdym razie tak dla niego, jak i dla czytającej publiczności pożyteczniejszy. A mianowicie: zamiast łożyć na druk, lepiej było zakupić kilka dzieł poważnych, któreby obeznały autora z ostatniemi wypadkami nauki i z najnowszym kierunkiem filozoficznych badań.

Rozczytawszy się w nich pilnie, mógłby łatwo dowiedzieć się przez porównanie, czem są jego poglądy filozoficzne i przekonać się, że jego osłupienie jakiego doznał podczas swych medytacyj nad *nieskończonością*, przedstawiającą się mu w kształcie *linji prostej nieskończenie długiej* — było dla niego zbawienną przestrogą, której on nie zrozumiał, że to Minerwa, zleciawszy z Olimpu, szarpnęła go za włosy, jak ongi Achilesa, chcącego rzucić się na Agamemnona, pragnąc go powstrzymać od zgubnego dlań zamiaru wkraczania bez przewodnika i zasobów naukowych na pole całkiem mu obce, gdzie go czekały obłęd i konfuzja.

Władysław Kozłowski.

WSPOMNIENIA MORMONKI.

Wprawdzie wiele pisano o Mormonach, mało jednakże w opisach tych znajdujemy dokładności. Zwłaszcza sprawy dotyczące stanowiska kobiet w rodzinie i państwie osłonięte są legendową gazą. Ta bowiem sfera najmniej jest przystępna obcym, a źródła, któremi prace swe zasilali, polegały co najwyżej na dorywczych spostrzeżeniach.

Obecnie pojawiła się książka, która braki owe zdaje się wypełniać. Pani Stenhause, żona człowieka, który między Mormonami zajmował przeszło dwadzieścia lat znaczne stanowisko i wiarę swą niedawno porzucił, skreśliła autobiografię, stanowiącą dopełnienie dzieła jej męża o świętych mormońskiej wiary. Książka p. S. ułatwia nam poznanie właściwości domowego życia i sposobu myślenia Mormonów. Stanowi to główną wartość książki; ujemną jej stroną jest brak uzdolnienia literackiego, wskutek czego autorka przedstawia pracę swoją w chaotycznym nieładzie, nad rzeczami drobnemi nieraz zbyt długo się zatrzymuje, a ważniejsze czasami traktuje lekko. Mimo tych wad, książka ta jest nader zajmującą, tembardziej, że autorka obszerniej zastanawia się nad sprawą wielożeństwa, stanowiącą najjaskrawszy rys mormońskiego kościoła. Kwestja ta wywoływała wielokrotnie w Stanach Zjednoczonych polityczne dyskusje. W ostatnich zwłaszcza czasach, dzięki kolei Pacyfik, stan Utah, tak niegdyś odległy od reszty stanów wszedł w bezpośrednie z niemi stosunki.

Na wstępie oświadcza autorka, że wszystko to, co czytelnikowi wydać się może nieprawdopodobnem, w przekonaniu Mormona jest najzwyklejszym, codziennym wypadkiem, który w Utah nikogo nie dziwi. Prosi więc autorka, aby czytelnik wciąż pamiętał o tem, że opisuje ona z własnej obserwacji i opowiada dzieje wiary, która mimo całej swej dziwaczności i okrócieństwa, spotła się z jej duszą tak dalece, że stanowi obecnie składową część jej życia. Pani Stenhause jest z urodzenia Angielką. Poświęciła się ona zawodowi nauczycielskiemu i w tym charakterze czynną, była przez pewien czas we Francji.

Wróciwszy razu jednego na święta do domu, dowiedziała się, że rodzice jej przeszli na wiarę mormońską, poczem dzięki wymowie duchownego, poszła śladem rodziców. Wkrótce potem została żoną wymownego misjonarza. W owym czasie misjonarze mormońscy nie wspominali nic o mającej się wprowadzić instytucji wielożeństwa, która niedługo potem stała się filarem mormońskiego kościoła. Zapoznawano świat jedynie z jasnemi stronami religji. Bóg osobisty, żyjący prorok, rzeczywiste niebo, oto były idee, w imię których działali misjonarze. Otumanieni mężczyźni i kobiety zmuszeni byli przedewszystkiem udać się do Utah, aby tu zapoznać się z nauką Brighama Yunga, zanim pojęli na czem właściwie polega mormonizm.

Mormoni byli podówczas (1849 r.) poważnym religijnym ludkiem, pod wieloma względami podobnym do metodystów, zwłaszcza ze swego zapału i misjonarskiej żarliwości.

Wkrótce po ślubie mąż jej wyjechał z misją do Włoch. Pozostawia żonę swą niby apostoł z pierwszych czasów chrześcijaństwa. Autorka w sprawie tej tak powiada: „Przygotowując się do podróży Stenhause zdawał się o sobie

nie myśleć. Ufałam mu najzupełniej, kochałam szczerze, będąc przytem o wzajemności przekonaną. Wszelako ludzie wyczekujący cudów, rachujący na to, że powszedni chleb ich zapewniony, nie odznaczają się w domowych swych zachodach roztropnością i przezornością. Stenhause rachując, że „Pan będzie o nim pamiętać,“ za zbyteczne uważał pamiętać o sobie. Sądził, że niereligijnie postąpi zaprzątając sobie zbytnio umysł obawą o moją egzystencję. Zostawiał mi zwykle 1. Ł.

Rzecz prosta, że młoda kobieta przekonała się wkrótce, iż nie będzie miała czem opędzić najpierwszych potrzeb życia. Misja włoska chybiła zupełnie; okazało się bowiem, że misjonarz nie zdołał nakłonić ani jednego Włocha do przyjęcia nowej wiary. Stenhause tedy otrzymał polecenie udać się wraz z żoną do Szwajcarji, gdzie jej znajomość języka francuskiego była niezbędną.

Tu przebyła ona ciężkie chwile, nieraz nędzy nawet, i tylko dzięki sile swego charakteru i przywiązaniu do męża nie zachwiała się w swych moralnych zasadach. Wszelako 1853 roku dotkliwy cios spotkał jej sumienie, usiłujące pogodzić się z konsekwencją mormońskiej wiary. Chodziło mianowicie o poligamię, która weszła w skład zasad mormonizmu. Była więc zmuszoną bronić zasady, przeciw której buntowała się cała jej natura. Wkrótce potem otrzymała polecenie, aby wraz z mężem wróciła do Syonu, tak nazwanego przez Mormonów mieszkających nad jeziorem Słonem.

Tuż po przybyciu Stenhausów na miejsce, jako żarliwi misjonarze, zaproszeni zostali na obiad do prezesa Brighama Yunga. Pani Stenhause tak opisuje Yunga.

„Gdym po raz pierwszy go ujrzała zrobił na mnie wrażenie mężczyzny przeszło pięćdziesięcioletniego. Wzrostu średniego, dobrze zbudowany, smukły, wyglądał ogólnie na człowieka lubiącego rozkoszować. Wyraz twarzy Yunga był ujmujący i męzki. Patrzyłam na niego naturalnie okiem kobiety. Inni utrzymywali, że składny wyraz jego spojrzenia i twarde linje jego ust nacechowane były okrucieństwem, uporem i zarozumiałością, czego zresztą ja zauważyć nie mogłam. Często dochodziły uszu moich uwagi, że Yung jest potwornym człowiekiem i oszustem; w każdym razie posiadać musiał wiele talentu, potrafiwszy ludzi tych na tak długi czas opanować!“

Przez pięć lat p. Stenhause opierał się zaślubieniu drugiej żony, jakkolwiek przywódzcy kościoła winni ich mieć przynajmniej 3; w przeciwnym razie życie ich niezgodnem będzie z przepisami Mormonistów. Nareszcie musiał zrobić ustępstwo z obowiązku, aby pójść śladem Abrahama i innych bohaterów starego testamentu, którzy stanowią dla Mormonów wzór doskonałości. Mormoni przeważnie opierają się na tych rozdziałach biblji, w których Stwórca nakazuje mężczyznom mieć kilka żon i przyczyniać się do rozmnożenia Izraela, powołują się również na postąpienie Sary z Hagarą i Abrahamem. Nie prawdą jest jakoby do poślubienia drugiej żony potrzeba było zezwolenia pierwszej. Jest to pozór wymyślony dla zamydlenia oczu inowiercom.

Tak więc pani Stenhause doczekać musiała chwili, w której mąż jej poślubił drugą. Wspólnie z nią pod jednym dachem musiała mieszkać i przyglądać się jak człowiek, którego kochała skłaniał się, przynajmniej chwilami, ku innej.

Rozwody między Mormonami są nietrudne. Należy złożyć 10 talarów, aby uzyskać zezwolenie proroka w powyższym celu. Pani Stenhause napisała dzieło swoje celem przedstawienia moralnych cierpień Mormonek i objawienia światu, jak strasznem jest życie Mormonów. Autorka wierzy, że opisy jej zdolają przekonać każdego, kogo tylko fakta przekonać mogą, że mormonizm opierający się na Chrystusie jako swoim prawodawcy, jest niczem innem, jak despotyzmem w najgorszym gatunku w połączeniu z fałszem i występkami szpecącemi ludzką naturę. W każdym razie książka ta bez wątpienia przekonywa, że wielożeństwo jest instytucją wstrętną. Nic też dziwnego, że rząd Stanów Zjednoczonych mimo wszystkich konstytucyjnych swobód dokłada starań, aby zapobiedz tym skandalicznym stosunkom. Rząd waszyngtoński podniósłszy potężny swój głos przeciw wielożeństwu, rozpoczął już walkę z ową dziwną mormońską kolonją.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Pisma warszawskie zapewniają, iż fundacja „Macierzy“ przyjdzie rychło do skutku.

Obietnica uczyniona przez p. L. Grabowskiego wprawdzie nie została spełnioną, i na tę „Macierz“ nie rachuje wcale — lecz ma ona już zapewniony fundusz 25.000 rs. i w tym roku rozpocznie swoją działalność.

Część tej sumy znajduje się w ręku Kraszewskiego — reszta wypłaconą będzie w krótkim czasie.

*** Maurycego Gosławskiego „Piosnki ułana polskiego“ wyszły z druku w taniem wydawnictwie „Bibljoteki Mrówki“ jako tomik 109 tejże Bibljoteki. Śliczne te piosenki z czasu powstania 1831 r. przeważnie w obozie pisane, nie potrzebują zalecenia.

*** P. Stanisław Kuczewski wydał we Lwowie poemat, na tle krymskiem napisany, p. t. „Helena.“

*** Nakładem Towarzystwa przemysłowego we Lwowie, wyszła IIga Serja „Wzorów przemysłu domowego“ zawierająca hafty włościan na Rusi. Wzory te rysowane są przez p. Ludwika Wierzbickiego inspektora kolei Czerniowieckiej.

*** „Dykcjonarz encyklopedyczny“ Szparera w zeszycie 306 Dodatków obejmuje życiorys Romualda Hubego, w którym rzucono charakterystykę na jego pisma historyczno-prawnicze.

Rzecz traktowana ze znajomością naszych stosunków naukowych.

*** P. Sembrich-Kochańska zbiera niezwykłe tryumfy w Petersburgu. Pogłoska o wyrzeczenin się przez nią w stolicy Rosji polskiego nazwiska, była niedokładną; wprawdzie na afiszu figurowało jedynie „Sembrich“ lecz stało się to z winy bojaźliwego impresarja. Tymczasem, zachwycona publiczność petersburgska przywołuje na scenie słynną spiewaczkę samem tylko nazwiskiem „Kochańska“.

*** Skrzypek nasz Tymoteusz Adamowski — jak donosi Sygurd Wiśniowski — cieszy się wielkiem powodzeniem w Bostonie.

Razem z nim koncertował p. Lambert, Warszawianin, krewny kompozytora „Ducha wojewody.“

Gra on przeważnie Szopena.

*** „Salon“ paryski w dotychczasowej formie został zniesiony. Państwo przestaje nadal użyczać swej pomocy, zastrzegłszy sobie tylko prawo urządzania co pewien czas wystawy najlepszych dzieł sztuki, czynienia zakupów i zamówień, oraz odznaczania najwybitniejszych artystów. Odtąd artyści będą sami bronili swych spraw i w tym celu założyli towarzystwo, na czele którego stanął Guilleaume. Wystawa mieścić będzie na przyszłość tylko 2100 obrazów, zamiast jak dotąd 5000.

Społeczne i ekonomiczne.

*** „Towarzystwo Bibljoteki Polskiej“ w Rumunji, którego najgłówniejszym celem jest założenie w Jassach szkoły polskiej, ogłosiło sprawozdanie z czynności swoich za r. 1880, świadczące o ciągłym, acz powolnym rozwoju tej patrjotycznej instytucji.

Fundusz żelazny Towarzystwa, zwiększył się w r. z. o 1751 franków, a bibljoteka wzrosła do 1900 dzieł w 2815 tomach. Członków czynnych liczy obecnie Towarzystwo 63, a funduz zebrany na szkołę polską, wynosił z końcem roku 1880, franków 6011 ct. 80.

W końcu, dziękując wszystkim za życzliwe poparcie, zarząd Towarzystwa prosi ludzi dobrej woli w kraju, ażeby i nadal je wspierali radą i uczynkiem, szczególnie w urządzeniu szkółki, mającej na celu zapobiedz wynarodowieniu dziatwy polskiej.

*** W tych dniach przybyło do Warszawy kilku adherentów osławionych berlińskich promotorów ruchu antysemickiego, którzy za pomocą mów i kazań w kościele ewangelickim tamtejszym zamierzali wywołać podobną agitację...

Niepożądani ci goście szerzący niepokój i niezgodę, opuścili jednakże podobno Warszawę, nie znalazłszy podatnego gruntu dla swojej działalności.

*** Polacy w Ameryce południowej.

Los wielu rodaków naszych, osiadłych w Ameryce południowej, nazwać można prawdziwie świetnym.

Dobili się oni tam godności, zaszczytów i ogólnego zachowania.

W Santyago, stolicy rzeczypospolitej Chili, Ignacy Domejko jest rektorem uniwersytetu — przedtem zaś był ministrem oświecenia.

W Limie, stolicy rzeczypospolitej Peru, jedno z naczelnych stanowisk zajmuje Malinowski, inżynier, który pobudował wszystkie koleje peruwiańskie a szczególniej słynną w świecie technicznym kolej Oroya, bezwątpienia jedną z najsztuczniejszych na kuli ziemskiej.

Kolej ta idzie w Andy i wijąc się wśród groźnych przepaści coraz wyżej, wznosi się do 11.000 stóp nad powierzchnię morza.

W Limie też przebywają: głośny matematyk Folkierski, tudzież Kluger, który w Brazylji pozyskał przyjaźń cesarza Don Pedra i nauczył go języka polskiego.

Znamienity szereg inżynierów polskich w Peru kończą Orłowski, Habich i Wakulski Feliks.

Pierwszy zaprowadził tam wyrób wód mineralnych, stanąwszy na czele ogromnego przedsiębiorstwa, brat zaś jego ma największy handel win w Limie.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.